

Michał Gołębiowski: Po prostu dom, po prostu ojcostwo

Dobroć Boga poznaję w ojcostwie; czymś potężnym, a zarazem niezwykle prostym. I podobnie samego siebie – poznaję w byciu synem. Ono odpowiada na pytanie skąd przychodzę, kim jestem i dokąd zmierzam, a ta relacja rzeczywiście „już wystarczy” – pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wcielenie. *Conditio culturae*”.

Kiedyś te sprawy wyglądały na skomplikowane. Dziś okazały się proste. Tak, jakby życie niosło się samo, swoim własnym pędem, swoim własnym oddechem, a ja nie potrzebuję już dłużej szukać ani wątpić. Najpierw zrozumienie tego, co oczywiste i czyste. Później wyłania się cała reszta, chyba po to, aby okazało się, że różne drogi i wskazania duchowe w gruncie rzeczy prowadzą do jednego. Bo tylko jedno jest potrzebne.

Czy coś podobnego wydarzyło się w wieczniku? Na samym końcu doczesnej drogi Jezusa, tuż przed Jego męką i śmiercią, Filip poprosił: „Panie, pokaż nam tylko Ojca, a to już nam wystarczy” (J 14,8). Wydaje się, że do tego miejsca prowadziły wszystkie dotychczasowe nauki i czyny Zbawiciela. Istnieje zresztą wczesnochrześcijańska tradycja, zgodnie z którą całe kazanie na górze, zawierające oczywiście szereg istotnych wskazań na temat życia i miłości, nade wszystko miało ustanowić nową relację pomiędzy człowiekiem i Bogiem. Jezus

przyszedł do uczniów z Ojcem. Moralność stała za Nim. Przyszła wraz z ujawnionym Abbą, jakby z Jego własnej głębi. Czyli najpierw bliskość. Wyższa moralność była potem. „W ten sposób”, mówił Jezus, „okażecie się synami Ojca waszego, który jest w niebie i który sprawia przecież, że słońce wschodzi tak nad złymi, jak i nad dobrymi, a deszcz spada zarówno na sprawiedliwych, jak i niezbożnych” (Mt 5,45).

A więc poznanie Ojca wystarczy. Czasownik ἀρκεῖ rzeczywiście oznacza coś, co „jest już dosyć”. Więcej nie trzeba. Tak, jakby ktoś najadł się do syta i nie potrzebował już dłużej zaspokajać głodu. Myślę o tym szczególnie teraz, przed świętami Bożego Narodzenia, bo skoro dawno temu św. Ireneusz z Lyonu stwierdził, że Bóg stał się człowiekiem po to, aby człowiek stał się bogiem, to z tego wynikałoby również, że Bóg przyszedł jako Syn, abyśmy w Nim odnaleźli w Ojca. A to zmienia wszystko.

Chociaż kazanie na górze zostało wygłoszone, przełom został zapowiedziany i wreszcie się dokonał, to jednak nasze codzienne doświadczenie udowadnia, że wewnętrzne przemienienie wcale nie jest czymś częstym. Znacznie bardziej powszechne wydaje się poczucie osierocenia, nawet u wierzących chrześcijan. Naszym wrogiem jest, być może, przyzwyczajenie. O Bogu jako Ojcu mówi przecież cała nasza kultura. Mówi tak długo, że język przestał nas chyba otwierać na tę rzeczywistość, a nawet więcej – utrudnia do niej dostęp i na nią zamyka. Wstrząs kazania na górze został osłabiony, a przecież kiedyś kruszył góry. Całe szczęście, że jego moc nadal tam jest, potrzeba tylko wciąż na nowo mówić do samego siebie: „Przebudź się, ty, który śpisz” (Ef 5,14).

Winni temu stanowi rzeczy nie jest, oczywiście, sam język, tym bardziej gdy nazywa prawdę taką, jaką jest. Brak nam jedynie predyspozycji duszy, którą św. Makary Egipski i św. Hezychiusz z Synaju nazwali mianem νῆψις, co oznacza „czujność”, „trzeźwość” albo „uwagę”. To dzięki niej staje się możliwe zdumienie z powodu odkrycia realności czegoś, co oczywiste, proste, a jednocześnie pełne. Bo ojcostwo Boga odsłania się jako oczywistość w Zbawcy narodzonym jako dziecko. A skoro jest oczywistością, to tym mocniej powala na ziemię. „Dlatego też upadam na kolana przed Ojcem” (Ef 3,14), tak pisał autor Listu do Efezjan. Stał zdumiony, oglądając „wszelki ród na niebie i ziemi” (Ef 3,14), a kiedy rozpoznał w nim Jego, nie mógł dłużej utrzymać się na nogach.

A zatem – Bóg jest Ojcem. Tak Go teraz poznaję. Choć to dopiero początek, przemiana modlitwy jest duża i rozpadają się rozmaite struktury. W ojcostwie Boga zawiera się cała reszta, zarówno miłość, jak i modlitwa, wiara w wysłuchanie, obecność, gorliwość i żywa nadzieja na trwanie. Jego dobroć poznaję w ojcostwie; czymś potężnym, a zarazem niezwykle prostym. I podobnie samego siebie – poznaję w byciu synem. Ono odpowiada na pytanie skąd przychodzę, kim jestem i dokąd zmierzam, a ta relacja rzeczywiście „już wystarczy”.

Oglądam pierwszą lepszą bożonarodzeniową kartkę i widzę w lekko kiczowatym rysunku Świętej Rodziny całą tę cudowną wymianę. Bóg stał się człowiekiem, takim jak ja, abym kiedyś miał udział w Jego naturze. Stał się dzieckiem i synem, żebym w Nim odnalazł samego siebie jako dziecko i syn, i żebym spotkał Ojca. Aż ciśnie się na usta

słowo: „Nareszcie”. Dopiero teraz, stając przed Nim jako Jego dziecko, z tym „śmiałym”, czy raczej „zuchwałym przystępem” (Ef 3,12) do Niego, zacznę rozumieć, co to znaczy być bezpiecznym.

Nie jesteśmy już „cudzoziemcami i przychodniami z daleka”, ale „domownikami Boga” (Ef 2,19). Dopiero wtedy, w tym domu, razem z Ojcem, mogę czuć się bezpiecznie. To „już wystarczy”, znika potrzeba innych uzasadnień. Nigdy więcej błędzenia. Cokolwiek przyniosłoby życie, jestem w domu, mieszkam razem z Ojcem. Może to być nawet grotą w Betlejem. Ustaje potrzeba poszukiwania i zabiegania o to, o co zabiegałem przez długie lata. To raczej do tego domu przychodzą królowie z darami. Wszystko dlatego, że „umiłowany przez Pana zamieszka u Niego bezpiecznie”, a „On będzie go stale ochraniał, bo zamieszka w Jego ramionach” (Pwt 33,12). Dom ten ostanie się nawet wtedy, gdy przyleci jelek, chasil i gazam (Jl 2,25), aby splądrować moje pola.

Wydaje mi się, że to coś więcej niż wiara w Opatrzność dobrego Boga, który wszystkim kieruje, nad wszystkim ma czuwanie i we wszystkim współdziała dla dobra tych, którzy Go miłują (zob. Rz 8,28), nawet w tym, co przeciwne. Tutaj mowa o jakimś kroku naprzód. Modlitwa po odkryciu w sobie syna jest jak przyłgnięcie do piersi Boga. Nic nie zaszkodzi, jest bezpieczeństwo, ponieważ jest Ojciec. Cokolwiek Jemu oddam, On po ojcowsku to trzyma. „O nic się nie martwcie, powierzcie Mu wszystkie swoje zmartwienia, a On zatroszczy się o was” (Flp 4,6; 1 P 5,7). Słowo ἐπιτίσαντες to nawet więcej niż powierzać. Oznacza ono przerzucać na kogoś swój ciężar.

Kto wie, być może takie jest też ukryte znaczenie kultu Dzieciątka Jezus. Nie chodzi w nim wyłącznie o upamiętnienie pierwszego etapu zbliżenia się Stwórcy do stworzenia. Syn Boży pozostał przecież ukochanym dzieckiem Ojca nawet w dorosłości, wtedy, gdy rozpoczął nauczanie i umarł na krzyżu. Swoim słuchaczom św. Augustyn z Hippony ogłosił kiedyś, w homilii na temat modlitwy, że przede wszystkim „mają czuć się bezpiecznie jako synowie”, a ja taką postawę u Jezusa widzę przede wszystkim w momencie rozmnożenia chleba i ryb na pustkowiu. W Jego rękach były wtedy resztki, ale On był, jako dorosły mężczyzna i jako dziecko, w rękach Ojca. Z tego powstała obfitość. „Jedli wszyscy i nasycili się, a z resztek chleba i ryb zebrano jeszcze dwanaście pełnych koszów” (Mk 6,42-43).

Powoli to we mnie powstaje i jest to jakby ponowne wejście w narodzenie w Betlejem. Bo naprawdę zaufać Jego drogom mogę chyba tylko wtedy, gdy nareszcie widzę w Nim Ojca, nie tylko Boga i Pana, i nie tylko intelektem, który zgodził się w wierze z teologiczną prawdą. Chodzi tutaj o tożsamość, która przestała być jedynie konstrukcją albo proklamacją zewnętrznej treści, a stała się całkowicie moja.

Kiedy o tym myślę, słowa Pisma i Ojców mieszają się we mnie z tekstem tradycyjnej bluesowej piosenki. „Sometimes I feel like a motherless child a long way from home”, czyli: „Czasem czuję się jak dziecko bez matki, zbyt daleko od domu”. Są tylko dwie rzeczywistości: zamieszkanie w swoim domu albo bezdomność, posiadanie Ojca albo Jego brak. Przywoływana przez mnichów pustyni „czujność”, $\nu\eta\psi\iota\varsigma$, pokazuje, że są to sprawy jasne, a więc nie istnieją miejsca pośrednie. Synostwo i sieroctwo najłatwiej zaś poznać po stanie ducha. Nie można być przecież synem i niewolnikiem, ani w myśleniu, ani w modlitwie. Te

dwa pojęcia doskonale się wykluczają. „Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli”, pisał Paweł Apostoł, „żeby znów trwać w bojaźni, ale został wam dany duch przybrania za synów, w którym to duchu wołamy: Abba, Ojciec” (Rz 8,15). Czego może bać się człowiek mieszkający w tym domu, z Bogiem, czuwającym Ojcem, w pokoju obok?

Z tym odkryciem w duszy przyglądam się jednej z szopek bożonarodzeniowych i chyba zaczynam rozumieć, dlaczego Syn Boży, ten, przed którym drżą niebiosy, cały w płomieniach, mający w ręku wszelką władzę na dole i w górze – zdecydował się przyjść do nas jako ktoś zupełnie bezbronny. Ja też mogę się wewnątrznie takim stać. W ręku Ojca jest przecież wszystko na świecie i wszystko moje; cała ziemia, niebo i niebiosy, władze, potęgi i bogactwa. Cokolwiek istnieje, On jest ponad. A zarazem jest tuż przy mnie, jest dla mnie, obecny i czujny. Tak oto odnajduję samego siebie w Betlejem.

Dom, ojcostwo... Wydaje mi się, że nie ma niczego prostszego. Mało tego, bo w tej prostocie rozwiązuje się wszystko inne. „To już nam wystarczy”. Po prostu mieszkam, po prostu staję przed Ojcem. Po prostu jest. Po prostu syn, po prostu Ojciec. Dlaczego wcześniej tego nie widziałem?

Michał Gołębiowski